TYGODNIK

DLA DZIECI.

N^er 16.

W SOBOTĘ DNIA 25 KWIETNIA 1829 ROKU.

HISTORJA NATURALNA.

NAUKA DRUGA.

Człowiek.

Człowiek jest stworzeniem, którem Bóg ukoronował dzieła rąk swoich. Mając te same co i zwierzęta potrzeby, różni się od nich duszą nieśmiertelną, rozumem i mową. Gdy mu jest miłe ciepło a przykre zimno, gdy głód czując stara się o pożywienie, gdy snu dla spocznienia potrzebuje, widzi że te je-

go potrzeby spólne są życiu zwierząt; ale gdy myśli, gdy się zastanawia i gdy się nieśmiertelnego życia spodziewa, widzi istotę swoją wywyższoną nad wszystkie stworzenia i przybliżoną do natury tych duchów, któremi wszechmocny Stwórca swój niebieski majestat otoczył.

Maleńka mucha skoro się wylęgnie, umie latać i umie pożywienie swoje wynaleść. Kurczęta zaraz po wylężeniu biegają i znają te ziarna, które im natura za pokarm przeznaczyła. Zrzebię wkrótce po urodzeniu za swoją matką biega a pisklęta ptaków w gniazdzie, niedługo czekają téj chwili w któréj im skrzydła do lotu zdatne odrosną. Tymczasem człowiek przychodzi na świat w stanie zupełnego niedołęztwa;

nie umie chodzić, nie umie starać się o pokarm i niebyłby zdolny najmniejszego niebezpieczeństwa uniknąć. Muszą go pielęgnować dojrzali ludzie, dopóki nienabędzie sił zupełnych i nieudoskonali rozumu swojego. To nas przekonywa że do towarzyskiego życia stworzeni jesteśmy, i że w każdej czynności, jedni drugich wspierać winniśmy.

Pierwszy człowiek stworzony został w takim kraju, w którym mu dobroczynna ziemia bez przymusu wszystko wydawała, a ciągle łagodne powietrze nie wzywało do obowiązku starania się o ciepłą odzież i pomieszkanie bezpieczne. Nie zaraz przeto ludzie zaczęli tworzyć wsie i miasta i tak prowadzić życie, jak my je dzisiaj prowadzimy. Dopiero gdy przeszli w zimne

okolice ziemi, potrzeba skłoniła ich do poddania się większym trudom i przemysłowi ich szybszy popęd nadała. Równie jak dzieci ograniczonych wiadomości swoich niepewni z początku, rozszerzali je potem coraz nowemi postrzeżeniami; a co z razu potrzeba tylko na nich wymogła, to później zbytku i wykwintu przedmiotem się stało.

Najpierwsi ludzie w Azji mieszkając, byli wszyscy twarzy śniadéj, tojest tacy, jakiemi są dzisiaj Arabowie, Turcy, Persowie, Chińczycy. Ci, którzy Europę zaludnili, stali się za czasem tak białemi, jak my jesteśmy. Ci, którzy przeszli do Afryki, stali się zupełnie czarnemi, jakto na murzynach widzimy. Amerykanie są podobni do murzynów; czarność ich jednak niejest tak mocna

jak u Afrykanów, bo wpada nieco w czerwoność, co miedzianym kolorem twarzy zowiemy. W najpóźniéj odkrytéj piątéj części świata mieszkają ludzie zielonawy czyli oliwkowy kolor cery mający.

Właściwie jeden tylko człowiek pomiędzy zwierzętami ma zupełnie prostą postawę ciała, i jak już dawniéj Poganie wnosili, gdy wszystkie zwierzęta mają głowę pochyloną ku ziemi, człowieka oblicze wzniesione jest ku niebu, jakby w tym celu ażeby nigdy nie utracał z pamięci téj myśli, że jest źródło najwyższéj Mądrości z którego i on początek swój odebrał.

Lubo jedni ludzie są wyższego, drudzy niższego wzrostu, różnica ta jednak niejest bardzo znaczna, i średnia mia-

ra człowieka zwykle pięciu stóp dochodzi. Jednakże niektórych krajów mieszkańcy mocno od téj miary odstępują. Tak narody lodowatych, bliskich bieguna północnego krajów, są bardzo niskiego wzrostu, bo ledwie trzech stóp dochodzą, a przeciwnie mieszkańcy południowego brzegu Ameryki, z kraju Patagonów, bywają stopą od nas wyżsi. Tamtych możnaby nazwać *karłami*, tych *olbrzymami.*

Niżeli się przekonano że tę ogromne żebra i inne kości, które po wielu krajach z gór i skał wykopują, są kościami wielkich gatunków zwierząt, a mianowicie wielorybów i słoniów, uważano je powszechnie za kości olbrzymów, czyli niezmiernie wysokich ludzi, którzy całych sosen za laski do podpiera-

nia się używali. Podobnie utrzymywano i o karłach, zmyślano całe narody z niezmiernie małych ludzi złożone i powiadano że do tych narodów corocznie zlatują się żórawie i z niemi bój staczają. Ale tak dziecinnym powieściom wtenczas tylko wierzono, gdy mało kto był w stanie zatrudnić się dokładnem poznawaniem rzeczy.

Niedawno oglądano w Warszawie człowieka, który był stopą wyższy nad zwyczajną miarę wzrostu naszego, a historja opisuje nam człowieka bardzo niskiego, którego wzrostowi przed ośmdziesięciu laty wszyscy się dziwili. Gdy się on urodził, niebył dłuższym nad dziewięć cali a funta całego nie ważył. Zaniesiono go do chrztu w wielkim kielichu, w którym prócz tego pomieściło

się łóżeczko jego i kanapka. Karmiła go koza, która wkrótce tak się do niego przywiązała, że za najmniejszem kwileniem biegła go zasilić. Długo trzewik służył mu za kolebkę. W szóstym miesiącu po urodzeniu odbył ospę, w ośmnastym zaczął mówić, a w końcu drugiego roku nauczył się chodzić. Pierwsze jego trzewiki były wielkości łupiny od orzecha włoskiego. Stanisław Leszczyński, który był niejaki czas Królem naszym, dowiedziawszy się o tem osobliwem dziecięciu, wziął je na swój dwór; z przyjemnością bawił się z niem, i rozmawiał, a postrzegłszy że się często w odpowiedziach zająkiwa, nazwał je *Bebe*. Król chciał mu dać przyzwoite wychowanie, ale Bebe niemiał zdatności do nauki; okazywał tylko gust

do muzyki i nauczył się w takt bębnić i tańcować. Przechodził się zwykle po stole królewskim, a siadywał na poręczy krzesła. Chcąc raz dworzanie zrobić królowi rozrywkę, kazali kucharzowi sporządzić większy nieco pasztet, w którym się ukrył Bebe. Otwierając Król własną ręką pasztet, niemało się ucieszył, gdy jego faworyt na stół wyskoczył i tańczyć zaczął. Raz bawiąc Bebe na wsi biegał po łące i w trawie bujnéj jak w łesie zabłądził, tak dalece że z całych sił o ratunek wrzeszczeć musiał. Dożył do 23 roku a wtedy wzrost jego wynosił dwie stopy i dziewięć cali. Od szesnatego roku zaczął się starzeć, w dwudziestym pierwszym był już zgrzybiały; jego twarz pomarszczyła się, miał ciągły kaszel,

pochylił się ku ziemi i niemógł już bez kija chodzić.

Przyrodzenie zostawiło człowiekowi wybor pokarmu. Żywiemy się mięsem i roślinami, ale przemysł wskazuje nam tysiączne sposoby urozmaicenia naszych potraw i napojów. Mając rozum, łatwo możemy poznać co zdrowiu naszemu jest przeciwne; chrońmy się zatem używania rzeczy szkodliwych, wiek nasz skracających i sprowadzających mnóstwo chorób, których nieznają zwierzęta, a które człowieka przez krótki jego pobyt na ziemi, nieszczęśliwym czynią. Zwyczajny wiek nasz 60 do 80 lat zajmuje a rzadko 100 lat przechodzi. Zdaje się iż to jest nazbyt krótki przeciąg czasu dla istoty, którą opatrzność tak spaniałemi darami odznaczyła. Jest on

wszakże dość długi abyśmy wśród niego, poznawszy wyższe od zwierząt przeznaczenie nasze, na wieczną trwałość zasłużyli; jest aż nadto długi, abyśmy nieuchronne cierpienia nasze przypominające nam marność rzeczy ziemskich z męztwem człowieka znieść mogli.

MAŁY WŁOCH.

(Ciąg dalszy)

Ty o tem niewiesz, mówił dalej Jan Klostel, tyś nigdy za granicę téj wsi nie wyszła. Lecz możesz mi wierzyć. Nieprawdaż mój ojcze?

—On prawdę mówi, Małgorzato; bądź o tem przekonana. Nasze matki równie nas czule uściskały na pożegnanie, a potem płakały z radości za naszem po-

wrotem; wyprawiały wielką ucztę na nasze przybycie. Nasze dzieci nie są zupełnie opuszczone w świecie, my ich wysyłamy jak Jezus Chrystus wysłał uczniów swoich. Słuchaj małgorzato, przeczytam ci wyrazy które do nich wyrzekł:

„Nietroszcie się bynajmniéj o wasze pożywienie i życie, ani o odzież ciała waszego."

„Uważajcie ptaki w powietrzu: one nie sieją, ani zbierają, a jednak Bóg ich żywi. A czyliż wy nie więcéj macie wartości aniżeli ptaki?"

Małgorzata pocieszona temi wyrazami, otarła łzy swoje, i uściskała syna; potem rozeszła się cała rodzina. Nazajutrz i dni następnych niemówiono już nic o podróży: tylko matka przy-

gotowywała w cichości potrzebne rzeczy dla małego podróżnego: zrobiła mu za pomocą córek jeden ubiór całkowity nowy; Klaudjusz robił klatkę na swojego swiszcza, jego dziadek kazał mu powtarzać najpiękniejsze arje które umiał, a Jan Klostel przygotował dla niego mały woreczek skórzany z dwiema talarami.

Klaudjusz kochał czule rodziców swoich: mocno go to bolało że ich musiał opuścić, lecz nadzieja oglądania wielu krajów osładzała mu poczęści to przykre rozłączenie. Od dawnego już czasu miał wielką chęć do podróżowania, i widzenia rzeczy nadzwyczajnych; mało się troszczył o niedostatek który go łatwo mógł spotkać; jego wesołość oddalała od niego wszelkie tego rodzaju

przykrości; znosił ze śmiechem najmocniejsze zimna, a głód, pragnienie, trudy, niezmieniały wcale jego dobrego humoru; był oprócz tego bardzo czynnym, przemyślnym, i zdawał się bydź więcéj jak inne dzieci przeznaczony do nadzwyczajnych wydarzeń. Tymczasem, przed chwilą podróży, pewna okoliczność pomieszała jego radość, i nabawiła go niespokojności. Przed dwoma laty znalazł między górami biednego pieska który się zbłąkał, zwierzątko to, strudzone biegiem, umierające z pragnienia i głodu, padło u nóg Klaudjusza, rzucając na niego błagające spojrzenia: ten wziął go do siebie i nazwał go Alko. Alko, najlepszy co do swojéj natury, był nader brzydki co do powierzchowności; miał skórę czarną, pysk

długi, ogon krótki, uszy krzywe i spiczaste. Klaudjusz przywiązał się mocno do niego, Alko nawzajem do Klaudjusza, i odtąd nigdy się nieodstępowali. Kiedy więc teraz Klaudjusz musiał się oddalić, obawiał się mocno, aby jego biedny piesek niestracił życia z boleści po oddaleniu pana swego; życzył on sobie bardzo aby go można wziąść ze sobą, lecz Jan Klostel przedstawił mu, że to będzie dla niego ciężarem, i że będzie dobrze jeśli się sam wyżywić potrafi.

Dzień podróży nadszedł; przed wschodem słońca cała rodzina już wstała. Małgorzata i jéj małe córeczki gotowały z płaczem ostatnie śniadanie, Klaudjusz płakał także, Jan Klostel starał się pocieszać żonę swoję, a starzec,

lubo miał łzy w oczach, usiłował okazywać postać niewzruszoną. Alko wybiegał i powracał z niespokojnością, spoglądając nieustannie na swojego młodego pana, którego przez to tym więcéj do łez pobudzał. Ojciec przywiązał mu na plecach lirę i klatkę ze swiszczem, dał mu kij w rękę, i włożył do kieszeni woreczek skórzany, potem ci dobrzy rodzice pobłogosławili go, i uściskali: Alko chciał iść za nim jak zazwyczaj; Jan Klostel wstrzymał go zamykając przed nim drzwi domu.

Klaudjusz zeszedł z góry. Gdy już znajdował się w pewnéj odległości, obrócił się, aby jeszcze raz ujrzał strzechy rodzinne: cała rodzina stała przede drzwiami; wszyscy młodemu podróżnemu okazywali znaki pożegnania:

Klaudjusz upadł na kolana wyciągając ręce, jakby żądał od nich ostatniego błogosławieństwa. W miarę tego jak się oddalał od miejsca rodzinnego, pomniejszał się smutek myśli jego, a jego wyobraźnia malowała mu powabną przyszłość.

—Ach! mówił sam do siebie, gdybym miał ze sobą mojego kochanego Alko!

Gdy słów tych dokończył, Alko, cały spieniony, i ledwo dychając z utrudzenia, skaka na niego, i tysiączne mu czyni przymilenia; skoro ten piesek ujrzał się bydź wolnym pospieszył za śladami swego pana: Klaudjusz, uniesiony radością, uściskał go serdecznie; przyrzekł sobie, że nigdy nieopuści tego wiernego stworzenia, i wszystko z nim dzielić będzie. Klaudjusz zbliżył się do

Francji, pokazując swojego swiszcza po wszystkich miastach przez które przechodził: jego piękna powierzchowność, wesołość i otwartość, wszędzie mu miłe przyjęcie zjednały. Od dni już kilku znajdował się w Lyonie, którego zwiedzał różne przedmieścia, gdy razu pewnego dwóch panów przejeżdzających pięknym powozem, kazali stanąć woźnicy i pytali się małego włocha, jak się nazywał.

Mój drogi panie, odpowiedział tenże zdejmując swoję czapkę, ja się nazywam Klaudjusz Klostel.

Czy długo będziesz w Lyonie? zapytał go się jeden z tych panów.

—Nie, mój drogi panie, mój pies, moja lirka, mój swiszcz, i ja pojedziemy wkrótce do Paryża.

— Wktórym domu zajezdnym tu mieszkasz?

— W domu *Po kasse*, mój dobry panie, na samym końcu téj długiéj ulicy; niepamiętam już jéj nazwiska.

—Dobranoc mały; weź to na wieczerzą. Powiedziawszy te słowa, pan ten rzucił mu sakiewkę a powóz odjechał.

Klaudjusz został zdumiony usłyszawszy brzęk pieniędzy na ziemi. Alko je powąchał, i z obojętnością od nich się oddalił: jego pan nieuczynił podobnie, serce jego skakało z radości.

Ach! ach! Alko, rzekł podnosząc pieniądze, ty niedbasz o nie, bo niewiesz na co one są dobre; lecz wkrótce będziemy mieli za nie dobrą wieczerzą.

Klaudjusz przybywszy do domu za-

jezdnego *Po kasse*, kazał dać wieczerzą dla siebie, i dla psa swojego.

—Tylko dajcie nam jeść dosyć, dodał tonem rozkazującym, i nieżałujcie nam dobrych potraw.

—Hultaju! rzekł gospodarz; czy ci dziś twój swiszcz tak dużo przychodu uczynił? a będziesz mi miał czem zapłacić?

Klaudjusz zamiast odpowiedzi, dobył sakiewki i rozłożył pieniądze na stole; było w niéj dwa lujdory w sztukach sześciofrankowych. Opowiedział gospodarzowi jakim sposobem dostał tych pieniędzy, jego spojrzenia i wyrazy były tak proste i szczere, że gospodarz i wszyscy obecni niemogli im niewierzyć. Pierwszy chciał jedynie korzystać z tak dobrego zdarzenia; lecz żona jego więcéj uczciwości mająca, wzięła na bok

małego włocha, i radziła mu aby swój skarb lepiéj ukrywał.

—Moje dziecko, rzekła do niego, nie trzeba tak wszystkim bardzo ufać; znajduje się wiele złych ludzi na świecie, którzy dobrych często oszukują. Schowaj twoje pieniądze do kieszeni, i więcéj o nich niewspominaj.

Klaudjusz podziękował jéj za tę życzliwość, niebył jednak przekonany o tem, co mu mówiła.

—Dla czegoż mam moje pieniądze ukrywać, czy je ukradłem? pomyślał sam w sobie. Ludzie dorośli niepotrzebują mojego, ponieważ mogą sami zarabiać, a gdyby jakie dziecko mojego wieku chciało mi wydrzeć te pieniądze, potrafiłbym ich bronić. Tak rozmyślając usiadł na ławce kamiennéj która stała

przed drzwiami domu zajezdnego, oczekując zamówionéj wieczerzy. Jakiś człowiek zbliżył się do niego.

—Młody chłopcze, rzekł do niego, czy to nie tobie mój pan dał sakiewkę w któréj było ośm talarów?

—Tak jest panie, odpowiedział Klaudjusz podnosząc się i zdejmując czapkę swoję.

—Przysłał on mnie do ciebie ażebym ci powiedział że między temi pieniędzmi są dwie sztuki fałszywe, mój pan w téj chwili przypomniał sobie o tem: chce ażebyś mu oddał tę sakiewkę, aby te dwie sztuki mógł z niéj wyjąć, a włożyć ci dwie inne dobre na to miejsce; ja natychmiast ci ją odniosę.

—Ah, jakże twój pan jest dobry, odpowiedział Klaudjusz; podziękuj mu o-

demnie, gdyż tak byłem zdziwiony kiedy mi dał te pieniądze, że nawet niepomyślałem o tem ażeby mu podziękować.

Powiedziawszy te słowa, Klaudjusz oddał sakiewkę, a ten człowiek zniknął natychmiast. Wołają Klaudjusza na wieczerzą; ten nie pomnąc wcale na pieniądze, usiadł wesoło do stołu. Zajadał różne źle przyprawione resztki, które jego dobra strawność za wyśmienite uznawała, i zaczął opowiadać gospodyni domu, o ostatnim wypadku który mu się przytrafił.

(Ciąg dalszy w następującym numerze)

ROZMAITOŚCI.

Józia K... nader przyjemna i wesoła dziecina, słyszała to często mówiących,

jak komu łyżka, lub widelec upadł, że goście przyjadą. Pewnego przeto razu połajana od mamy, iż przez swawolę łyżkę upuściła, rzekła: *mamo, to goście przyjadą.*

Taż sama trzechletnia Józia, gdy raz przed nią szklankę przy obiedzie postawili, a pić jéj niedano, rzekła przy końcu obiadu: *mamo, a na co przedemną szklankę postawili?*

Raz przy sześcioletniéj Anielce mówiły dorosłe siostry, że ręce Dam tym są piękniejsze, im są mniejsze. Na to rzekła z wesołością Anielk[illegible] *dzy wami mam najpiękniejsze rączki, bo moje są najmniejsze.*
